Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

GONIEC KRAKOWSKI

60 hal.

Redakcya i administr.: Kraków, Dunajewskiego 7, Telefon Nr. 2502.
Biuro miastowe administracyi: Kraków, ulica Karmelicka Nr. 16.

Prenumerata w Krakowie: miesięcznie K. 16·— Z odnoszeniem do domu oraz na prowincyi miesięcznie K. 13·— Rękopisów redakcya nie zwraca.

Rok II. Kraków, Wtorek 4 listopada 1919. Nr. 298.

Lwów i Galicya wschodnia muszą pozostać przy Polsce!

Kraków, 3 października.

(K) Lwów święcił w ostatnich dwu dniach rocznicę podjęcia walki o swą przynależność do Rzeczyp spolitej.

Rok już bowiem minął od owego poranku listopadowego, w którym kresowa stolica, zbudziwszy się ze snu, ujrzała na swych wieżach wraże sztandary, a na ulicach pijane ruskie żołdactwo.

Kilka tylko godzin trwało jednak odrętwienie; pierwszego listopada w południe rozeszły się wieści, że gdzieś na krawędzi miasta rozpoczęły dzieci lwowskie zmagania z najeźdźcą.

Trzy tygodnie lała się na ulicach krew; trzy tygodnie wyrębywał bagnet improwizowanego żołnierzyka polskiego lepszą dolę do ukochanej stolicy.

Nie pomógł barbarzyński terror, nie pomogła przemoc liczebna; o głodzie i chłodzie walczył Lwów i czekał — na pomoc.

Pomoc nadeszła wreszcie, wbrew buńczucznym zapowiedziom ruskim, wbrew krakaniom puszczyków z pośród własnego społeczeństwa, wbrew obawom ludzi małej wiary i słabej woli, którzy w najcięższych chwilach doradzali orlętom lwowskim — kompromis.

Odsiecz nadeszła, lecz nie przyniosła jeszcze końca cierpień; nastąpiło kilkumiesięczne oblężenie. Granaty szczerbiły mury domów, pochłaniały setki ofiar w ludziach. Lwów stał na posterunku, zacisnąwszy zęby. Geniusz dziejów polskich unosił się nad bohaterskiem miastem; w niego to wpatrzone ginęły kobiety i dzieci, z niego czerpali mieszkańcy siłę nadludzką, pogardę życia i moc wytrwania.

Lwów wierzył, że bohaterstwem przypieczętuje na zawsze prawo swe do połączenie z zjednoczoną Ojczyzną.

Wraz z nim wierzyła Polska cała.

Tymczasem na konferencyi pokojowej toczą się dalej targi o grody czerwińskie.

Wrogie intrygi udaremniają dotąd ostateczną, a dla nas korzystną decyzyę. Ani trzytygodniowa epopea listopadowa, ani półroczne walki ludności i armii polskiej z wszystkich zaborów o wyswobodzenie, uwieńczone tak wspaniałym sukcesem, nie potrafiły przełamać uprzedzeń, powalić koncepcyi zrodzonych w głowach poszczególnych mężów stanu ententy.

Atoli Lwów będzie mimo wszystko nasz.

W rocznicę zmartwychwstania własnej państwowości, a zarazem w rocznicę rozpoczęcia walki o polskość Lwowa składa Polska cała uroczyste ślubowanie: że nie opuści swych wiernych braci, że nie da okaleczyć państwa przez wydarcie prastarych ognisk polskiej kultury, płonących zniczem narodowej woli, że nie da zamknąć sobie drogi na wschód, ku drugiemu morzu.

Gdy na początku wojny zalała Galicyę nawała moskiewska, a graf Bobriński proklamował na ratuszu lwowskim przyłączenie wschodniej części kraju „na zawsze" do „zjednoczonej macierzy rosyjskiej" odparł mu niezapomnianej pamięci prezydent Tadeusz Rutowski mocarnem polskiem „confiteor":

„Wierzymy — rzekł Rutowski — **że po chwilach cierpień dobijemy do tego szczęśliwego brzegu, kiedy po długiej rozłące złączeni już się rozłączyć nie damy".**

Słowa Rutowskiego **powtarza dziś dwadzieścia pięć milionów ust,** w ich tak? bije 25 milionów serc. **Po długiej rozłące złączeni — już się rozłączyć nie damy.**

Lwowa i Galicyi wschodnie, obronionych rubinami najcenniejszej krwi, nie damy sobie wydrzeć!

Tak nam dopomóż Bóg!

Skąd wyszła inicyatywa do obrony Lwowa?

Kraków, 3 października.

W pismach lwowskich czytamy:

Gdy się rozeszła pogłoska o planowanym zamachu na Lwów, tajne organizacye wojskowe Legionistów polskich, Polska Organizacya Wojskowa (P. O. W.) złożona głównie z Legionistów I. i III. brygady i „Komenda Mobilizacyjna", skupiająca przeważnie Legionistów II. brygady i Pol. Korpusu Posiłkowego — zarządziły bezzwłocznie mobilizacyę swych szeregów, by na zamach odpowiedzieć zbrojną reakcyą, — mimo, że nie było na to „placet" ze strony czynników politycznych.

Z 31 października na 1 listopada 1918 r. z organizacyi tych wyszła pierwsza załoga obrony Lwowa.

„Komenda Mobilizacyjna" obsadza 31 października wieczorem szkołę Sienkiewicza, P. O. W. zaś równocześnie Dom Techników przy ul. Issakowicza i Dom Akademicki przy ul. Łozińskiego, gdzie również zbierały się Polskie Kadry wojskowe z akademikami.

Ze szkoły Sienkiewicza i Domu Akademickiego głównie czynni są przez wieczór i noc wywiadowcy i patrole.

Pierwsza ofiara ukr. zamachu, **śp. Andrzej Battaglia** z P. O. W składa życie w oflerze Ojczyźnie już wieczorem 31 października. Pierwszy strzał oddaje peowiak, ppor. Leg. pol. **Feliks Daszyński,** który kładzie trupami posterunek ukr. przy ul. Batorego.

W nocy czuwa bez przerwy pogotowie tych organizacyi wojskowych z powodu niezbitych dowodów rozpoczęcia się zamachu ukraińskiego.

W nocy wychodzi z „Komendy mobilizacyjnej" przed 4-tą nad ranem rozkaz do szkoły Sienkiewicza: odpowiedzieć strzałami, gdy Ukraińcy zaatakują. **Ppor. Wasilewski** z P. O. W. rozbraja nad ranem austr. załogę Techniki, por. **Feldstein** rozbraja posterunek policyjny za rogatką gródecką i stacza walkę z patrolami ukr. na dworcu towarowym.

Szkoła Sienkiewicza odpiera przed g. 6 nad ranem i o 10 rano dwa planowe ataki ukraińskie przy użyciu karabinów maszynowych.

Możni i karni, spojeni ideą, która im od pierwszego czynu legionowego w r. 1914 przyświecała — b. Legioniści stają na straży praw zmartwychwstającej Ojczyzny, swą czujnością i natychmiastowem mężnem wystąpieniem przeciw uzurpatorom ukraińskim — spowodowali już od wczesnego ranka w dniu pierwszego listopada żywiołową, bohaterską obronę Lwowa i kresów.

Pierwsza rocznica walk o Lwów.

Lwów. (PAT) Pierwszą rocznicę walk przeciwko zamachowi ukraińskiemu obchodziło miasto Lwów w sposób nader uroczysty i poważny. O godz. 9 rano odbyła się msza garnizonowa w kościele św. Elżbiety, w tym kościele, od którego rozpoczęły się **pierwsze walki o Lwów.** Kazanie wygłosił ks. dziekan wojsk polskich Panaś. W nabożeństwie wzięli udział przedstawiciele Rady miejskiej, urzędnicy, generalicya z gen. Gołogórskim i szefem sztabu Prichem na czele, reprezentanci władz rządowych i autonomicznych, oraz liczna publiczność i korpus oficerski. Radę miasta reprezentował wiceprez. Chlamtacz, uniwersytet rektor Halban. Przed wielkim ołtarzem zajęła miejsce pierwsza załoga szkoły im. Sienkiewicza złożona **z byłych legionistów.** W presbiteryum znaleźli się reprezentanci powstańców z roku 1863, **misyi państw sprzymierzonych z półk. Derenty (Francya) na czele, Rolou (Anglia), Konstantinescu (Rumunia) i inni.** Po skończonem nabożeństwie publiczność odśpiewała Boże coś Polskę.

O godz. 2 po południu odbyło się **przewiezienie zwłok 6 poległych pod szkołą kadecką na cmentarz obrońców miasta Lwowa.** Pochód pogrzebowy miał wygląd **imponujący i rozciągał się na przestrzeni około 2 km.**

Na cmentarzu łyczakowskim urządzono osobny cmentarzyk dla obrońców Lwowa. Przed pogrzebem poległych poświęcił cmentarzyk **ks. arcyb. Bilczewski** i wygłosił przytem przemówienie, podnosząc w niem znaczenie obrony Lwowa, stwierdzając, że ci, którzy polegli w obronie miasta, mogą być pewni, iż nigdy pamięć o nich nie zaginie Następnie odbył się pogrzeb poległych. Nazwiska ich są: **Głogowski, Jaźwiński, Gogol, Sakowski, Staszkiewicz, Bułat.** Po egzekwiach przemówił imieniem wojska **gen. Gołogórski,** zaznaczając, że świeżo wykopane mogiły mają przypominać żołnierzowi polskiemu jego obowiązek obrony całości, **nienaruszalności i niepodległości republiki.** Również oddał cześć **pogrzebanym tuż obok żołnierzom francuskim, jako synom sprzymierzonej z Polską Francyi.** Po gen. Gołogórskim przemówił imieniem Rady miasta Lwowa **r. Wereszczyński,** podnosząc zasługi tej pierwszej garstki legionistów P. O. W. Następnie przemówił imieniem szkoły kadeckiej i kolegów pani Tynikowa, również żołnierz ówczesnej szkoły kadeckiej. Po odśpiewaniu Roty Konopnickiej publiczność rozeszła się w podniosłym nastroju.

Wieczorem o godz. 7 w sali gimnastycznej **szkoły im. Sienkiewicza** odbyło się zebranie koleżeńskie pierwszych uczestników załogi tej szkoły. Na zebranie to zaproszono przyjaciół, uczestników oraz przedstawicieli organizacyi wojskowych, które równocześnie wystąpiły do walki w dniu 1 listopada. Zebranie zagaił por. Feldstein. Zebrani wysłali telegram hołdowniczy do Naczelnika państwa, do gen. Hallera, do komendanta szkoły im. Sienkiewicza, majora Trześniowskiego.

Lwów. (PAT) Cała prasa tutejsza zamieszcza dzisiaj artykuły, poświęcone **znaczeniu dnia historycznego,** wspomina o wielkich zasługach pierwszej załogi lwowskiej w nocy z 31 października na 1 listopada. Pierwszymi obrońcami w wielkiej mierze byli **legioniści wojsk polskich.**

Czy to ma być plebiscyt?

W czasie plebiscytu na Spiszu i Orawie ma pozostać czeska żandarmerya

(Telefonem od naszego korespondenta).

Nowy Targ, 2 listopada.

Wiadomość, jakoby w czasie plebiscytu **miała na Spiszu i Orawie pozostać czeska żandarmerya,** o czem już Czesi dawno głosili ludności, **podziałała deprymująco na Orawców i Spiszaków.** Wszakże ta żandarmerya jest znienawidzoną na Spiszu i Orawie, gdyż **ona głównie dokonywała wszelkich rekwizycyi, wszystkich rabunków, strzelała do kościołów i ludzi, ma na sumieniu cały szereg zbrodni i zabójstw.** Czesi już dziś odgrażają się, że przeprowadzać będą ścisłą kontrolę, kto będzie głosować za Polską, i obiecują zwolennikom Polski po plebiscycie więzienie i konfiskatę majątku. Nie dalej, jak wczoraj, zranił ciężko czeski żandarm chłopa w Piekielniku, który wracał z towarami z Polski, i to bez żadnego powodu. Ludność przybywająca tutaj wprost zapowiada, że swobodne głosowanie będzie wykluczone, bo Czesi wszystkich terroryzują. **Domagają się, aby rząd polski uzyskał od koalicyi usunięcia Czechów ze Spisza i Orawy. i zastąpienie żandarmeryi przez milicyę złożoną wyłącznie z miejscowej ludności.**

Jak podnieść naszą produkcyę rolną?

Czem grozi Polsce zła aprowizacya? — Pierwszem zadaniem podniesienie produkcyi rolnej. — Wyjałowienie ziemi. — Konieczność użyźnienia gleby sztucznymi nawozami. — Rząd musi wszcząć energiczną akcyę.

Kraków, 3 listopada.

U progu zimy, wobec coraz groźniejszych braków aprowizacyjnych **rodzi się w umysłach, ogarniających szersze horyzonty, głęboki niepokój i troska.**

Głód jest złym doradcą, wzburza on masy, rozpętuje namiętności. Skutki jego mogą zaś być tem fatalniejsze, jeśli wrogie państwu czynniki zewnętrzne (Niemcy, Czesi, bolszewicy) wyzyskają go dla swej zbrodniczej propagandy. **Cały olbrzymi trud włożony w budowę państwa gotów zmarnieć, niepodległość, okupiona krwią pokoleń, mogłaby otrzymać śmiertelny cios.**

Jeśli chcemy żyć i rozwijać się, musimy wszcząć wielka akcyę ratowniczą, musimy zdobyć się na ogólną ofenzywę przeciw głodowi.

Sytuacya tak się dziś przedstawia, że **pokrycie niedoboru zbożowego importem zagranicznym będzie a la longue niemożliwem;** gdyby **zaś** nawet rzecz przedstawiała się inaczej, to **ciągłe zakupy gotowych produktów rolnych poza krajem zrujnowałyby wnet naszą i tak już niezbyt silną walutę.**

Koniecznem jest byśmy podnieśli ad maximum własną wytwórczość rolniczą.

Wytwórczość ta chroma z powodu **zbyt mało intenzywnej** pracy **i wyjałowienia** ziemi, będącego koniecznem następstwem pięcioletniej **wojny** na naszym obszarze.

Wzmożenie pracy i usunięcie skutków wyjałowienia — oto problemy, które rozwiązać należy i to jaknajspieszniej.

Jak dążyć do wzmożenia pracy, jest jasne. Cel ten da się osiągnąć przez współdziałanie czynników rządzących z całem społeczeństwem, przez ciągłe uświadomianie grozy sytuacyi, **jaką** zaniedbania w robotach rolnych mogą wywołać, przez silną rękę wobec skrajnych, przewrotowych dążeń komunistycznych.

Lekarstwo na wyjałowienie nie leży już w dziedzinie polityczno-społecznej, czy administra**cyjnej, lecz w sferze działań czysto ekonomicznych.**

Trzeba wyjałowiony grunt użyźnić, choćby z największym nakładem pracy i to z dużymi kosztami. Najważniejszym czynnikiem, użyźniającym są nawozy. Ogromne zmniejszenie się bydłostanu w Polsce nie pozwala jednak na pokrycie naszych potrzeb nawozem naturalnym. Nawóz ten nie wystarczał już zresztą przed wojną na racyonalne pokrycie potrzeb polskiego rolnictwa. Nie zdawaliśmy tylko sobie z tego sprawy, jakkolwiek każdy rolnik mógł się po kilkudniowym pobycie zagranicą przekonać, jak wielką wagę przywiązują tam do nawozów sztucznych i jak wspaniałe wyniki daje ta metoda użyźniania ziemi. Dość wspomnieć, że male Czechy konsumowały więcej nawozów sztucznych, jak cała, tylekrotnie większa, Polska.

Podniesienie metod naszej gospodarki rolnej, racyonalnem nawożeniem naszej gleby stanowi dziś „conditio sine qua non" polepszenia sytuacyi.

Czy o nawozy sztuczne dziś łatwo?

Głównym ich rodzajem **są: superfosfaty kostne, superfosfaty mineralne i żużle Thomasa.**

Superfosfaty **kostne mogą** pokryć tylko drobną część zapotrzebowania. Surowcem, potrzebnym dla ich produkcyi jest t. zw. mączka kostna, mączka parzona, będące półfabrykatami surowych kości.

Żużle Thomasa, **które także tylko niedużą** część naszych potrzeb mogą zaspokoić, wymagają dla swej produkcyi surowca, jakiego u nas **w kraju prawie zupełnie niema. Jedynie Huta** Bankowa **w Dąbrowie otrzymywała z pieców** Martina pewne ilości **żużli, i to zawierających** ledwo kilka **procent kwasu fosforowego. Obecnie mogą dostarczyć nam materyału, potrzebnego do wyrobu żużli fabryki czeskie (przedewszystkiem Huta Witkowicka).**

Najważniejszy rodzaj nawozu **sztucznego stanowią** superfosfaty **mineralne.** Surowcem wchodzącym tu **w rachubę są t. zw.** fosfaty **(fosforyty), znajdujące się w Ameryce (Floryda, Angaur) i Afryce (Algier, Tunis). Fosforyty** podolsko-rosyjskie **i** wschodnio-galicyjskie **nie** wchodzą narazie **praktycznie w rachubę.**

Sytuacya ogólno-gospodarcza, a zarazem specyalne warunki **produkcyi** nawozów **sztucznych,** sprawiają, **że inicyatywa prywatna nie potrafi rozwiązać nasuwających się tu zadań, lecz, że w interesie ogólnym musi tu wkroczyć rząd.**

Najmniejszą będzie jego rola w kwestyi superfosfatów kostnych. Rząd powinien **zająć się tylko energiczną akcyą zbierania surowych kości, zapobiedz marnotrawieniu ich przez gospodarstwa prywatne, przeprowadzić rozdział** półfabrykatów, uzyskanych **z surowych kości celem roztworzenia ich na superfosfat, wreszcie zapewnić możność** wymiennego handlu **zewnętrznego kośćmi i ich produktami.**

Jeśli idzie o t. zw. „żużle Thomasa" **czynności rządu musiałyby już być intenzywniejsze. Oto — jak wspomnieliśmy — fabryki czeskie posiadają** potrzebny w tym wypadku surowiec **t. zw.** szlakę **surową. Jedna z odnośnych fabryk** mogłaby odstąpić nam znaczną ilość szlaki rocznie. Rząd czeski żąda jednak za pozwolenie wywozu rekompensaty ze strony Polski. Nasze czynniki rządowe rozstrzygną więc, czy szlakę dostaniemy, czy też nie; **wierzymy, że pójdą one na rękę potrzebom produkcyi.**

Akcyę, zakrojoną na szeroką skalę winien natomiast rząd przeprowadzić w sprawie zapewnienia podstawowego wprost rodzaju nawozów sztucznych, t. zw. superfosfatów mineralnych.

Przemysł superfosfatowy jest — z wyjątkiem z fabryk — zupełnie unieruchomiony z powodu braku surowca. Surowce, w grę tu wchodzące, znajdują się bowiem — jak już to wyżej powiedzieliśmy — w krajach zamorskich, przedewszystkiem Ameryce. **Kurs obcych walut, olbrzymie trudności techniczno-transportowe uniemożliwiają fabrykantom zakupno surowca. Surowiec mogłaby Polska otrzymać jedynie dzięki rządu.**

Należy zważyć, że ilość fosfatów, koniecznych dla zaspokojenia potrzeb gospodarczych jest bardzo znaczna; fachowcy obliczają ją na kilkadziesiąt tysięcy wagonów. Koszt nabycia tej ilości surowca wyniesie kilka milionów dolarów, względnie kilkanaście milionów funtów szterlingów.

Rząd powinien zaciągnąć zagranicą, najlepiej w Ameryce, pożyczkę do tej wysokości i uzyskanym w ten sposób kredytem przyjść z pomocą przemysłu superfosfatowemu. Pomoc może być udzieloną w kilku formach. Jedną z nich jest n. p. zakupno fosforytów przez sam rząd i oddania ich fabrykantom do przeróbki, przyczem gotowy produkt miałby być po cenie ustalonej z góry oddany rządowi do dyspozycyi. Drugą formą jest n. p. zapewnienie fabrykantom odpowiedniej ilości dolarów, czy funtów szterlingów po umiarkowanym kursie, a wtedy już fabrykanci zakupiliby towar. Są wreszcie inne metody, prowadzące do celu.

Główną rzeczą jest, by inicyatywa rządowa zapewniła przemysłowi superfosfatowemu tanie środki płatnicze zagranicą.

Prócz akcyi finansowej pomoc rządu konieczną jest w wielu innych dziedzinach. Tak n. p. trzeba wogóle zabezpieczyć surowiec w Ameryce, albowiem Czechy i in. państwa sąsiednie czynią w tym kierunku już oddawna starania, a ilość jego w Ameryce jest ograniczoną. Rząd musiałby postarać się dalej o okręty na przewóz fosfatów, gdyż i okrętów zabraknąć wnet gotowo. Jest ich mniej niż przed wojną, a przytem prawie cały tonaż jest zajęty przez transporty do Europy. Nasi sąsiedzi pomyśleli i o tem już przed nami. Niemałej wagi rzeczą będzie tu zarezerwowanie wagonów w państwach, przez które wiedzie droga z portów zagranicznych do Polski. Ze względu na niespławność Wisły na znacznej przestrzeni towar nie będzie mógł być skierowany do polskich portów, n. p. Gdańska. Rozumie się, że duża sprawność polskich kolei jest tu także kwestyą pierwszorzędnej wagi.

Rząd nasz winien się zdobyć na szerszy gest, idzie bowiem o rzecz olbrzymiej wagi: o przyszłość rolnictwa, a w konsekwencyi o zapewnienie aprowizacyi kraju.

Co to znaczy — wiemy wszyscy.

Nie wolno, by po raz drugi powtórzyła się dzisiejsza sytuacya. Nie wolno, byśmy raz je-

---

ALBERT DE TENEUILLE.

MASKULIZM.

(Scena domowa z r. 2019).

W wytwornym buduarze, obitym tapetami koloru starego złota — pan w eleganckim negliżu z miękkiego jedwabiu w kolorze dojrzałej brzoskwini, na nogach cienkie pantofle, ozdobione złotem; włosy mocno ondulowane; z fałdów negliżu wysuwa się na piersiach jedwabna liliowa koszula; palce strojne w bogate pierścienie, na szyi zwiesza się sznur wspaniałych pereł. Pan leżąc na miękkiej kanapie rozmawia ze swym starym przyjacielem z lat dziecinnych, imieniem Faufreluche.

Pan. — Jeszcze jeden papieros, dobrze?

Faufreluche. — Nie, dziękuję, ja mało palę.

Pan. — Czy widziałeś ostatni katalog Galeryi Guimal-Phole? Modne będą w tym sezonie pantalony bufiaste i bardzo krótkie, łydki obnażone, przezroczyste skarpetki i sandały.

Faufreluche. — Przebąkują też coś o surdutach bez rękawów i kapeluszach-melonach z zielonego tiulu, przybranych pękiem piór krwawego koloru.

Pan. — To może nieco ryzykowne!

Faufreluche. — Ech! Wczoraj wieczór widziałem w teatrze mężczyznę, który miał nos przekłuty platynową obrączką, na głowie zaś jeden z tych starodawnych kapeluszy czarnych, świecących, jakie noszono za trzeciej Republiki. Cóż to, to było ryzykowne... lecz wcale nie brzydkie!

Pan. — Najbardziej skłopotany jestem tem, jak ubiorę moją Julcię, mojego benjaminka.

Faufreluche. — Poradź się żony.

Pan. — Och! ona taka zajęta!... Zresztą nie obchodzą jej te sprawy.

Faufreluche. — Lecz masz przecież służbę?

Pan. — O! tak niewiele: pokojowę, ogólnego nadzorcę gospodarstwa i froterkę. Sam zajmować się muszę bielizną, kuchnią, dziećmi. Jestem taki już zmęczony, że nie wiem doprawdy jak dalej podołam moim obowiązkom.

Faufreluche. — Biedny mój przyjacielu!

Pan. — Ach! te kobiety! One nas nigdy nie zrozumieją! Mimo całego zbytku, jakim otaczają nas nasze żony, jesteśmy prawdziwemi ofiarami! Lalki, zabawki, oto czem jesteśmy!

Faufreluche. — To prawda, istotnie, że kobiety nas tyranizują. Całkiem zresztą naturalnie, one bowiem ustanawiają wszelkie prawa. Lecz trzeba im przyznać, że nadużywają swej władzy.

Pan. — Historya nas uczy, że dawniej było zupełnie na odwrót. Należałoby powrócić do tego błogosławionego stanu rzeczy. I pomyśleć, że ojcowie nasi byli na tyle głupi, iż żądali za cenę rewolucyi całkowitego zniesienia praw mężczyzny!

Faufreluche. — Mam myśl! Trzeba na gwałt przeciwdziałać! Wśród redaktorek dzienników, pań-posłów, senatorek, mam różne moje znajome. Postaram się wszcząć męską kampanię o uzyskanie „Deklaracyi i praw mężczyzny". Niech żyje prawo głosowania! Niech żyje wolność! Zniszczyć międzynarodowy rząd kobiecy, który nas dławi i dusi!

Pan. — Brawo! Bravissimo! Masz, weź jeszcze cukierek.. A teraz... zmykaj. Żona moja przyjdzie za chwilę. Gdyby zastała nas gawędzących, zrobiłaby mi jeszcze jedną scenę... A ciężką ma łapkę!...

Faufreluche. — Do widzenia zatem..

Pan. — Do widzenia! Niedługo!

(Całują się).

• • •

Faufreluche odchodzi. Pan zbliża się do lustra, wyciąga z kieszeni małe złote pudełeczko i pudruje się lekko. Potem, zamyślony, zaczyna spacerować po pokoju, przybliża się do stolika z przyborami do szycia, bierze robótkę ręczną, po chwili odkłada ją z wyrazem zmęczenia, chwyta najnowszy romans, wyciąga się na kanapie i czyta... Dźwięk dzwonka. Zamyka szybko książkę i udaje, że drzemie. Wchodzi Pani. Suknia ciemna. Coś w rodzaju sukiennego surduta, zapiętego pod samą szyję, długa jupe culotte, zwyczajny męski kapelusz filcowy. Patrzy przez chwilę na męża, który nie rusza się z miejsca.

Pani. — Dobry wieczór, Rodzanie. (Całuje go w rękę).

Pan. — ...dobry wieczór.

Pani. — Coś nie w humorze

Pan. (tonem leniwym) — Nie tylko mam szaloną migrenę.

Pani. — Znowu paliłeś! Wiesz dobrze jak tego nie lubię.

Pan. — Tak... nie... tak... jednakże.. Nie mogłem inaczej... Faufreluche był u mnie.

Pani. — Och! znowuż ten Faufreluche! Stanowczo za często cię odwiedza. On mi się bardzo

...nie musieli drżeć o naszą przyszłość, by głód zaglądał nam w oczy, a cała nasza nadzieja polegała na tem, że może przecież uda nam się za cenę wydatku setek milionów, rujnującego nasz bilans płatniczy i walutę, uratować się przed katastrofą. Lepiej naprawdę postarać się dziś o mały stosunkowo kredyt, wytężyć trochę sił, postawić przez to na nogi dużą gałąź przemysłu, dać pracę bezrobotnym, a na przyszłość uzyskać pomyślne widoki rozwoju ekonomicznego.

Polityka kramikarska, drobnostkowa jest niedopuszczalną już w gospodarstwie prywatnem, uprawiana w państwie prowadzi do niechybnej ruiny.

Możeby się nad tem zastanowiły nasze czynniki miarodajne?

Wśród jeńców bolszewickich.

(Od naszego wojennego korespondenta).

Front litewsko-białoruski, w październiku.

(zdz.) Na stacyi kolejowej, opodal frontu bojowego, stoi nieskończenie długi pociąg ciężarowy. Zaczyna zaledwie słabo świtać na dalekim wschodzie, a już wewnątrz wagonów budzi się ruch. Z na poły odchylonych drzwi wagonowych wyglądają zamorusane twarze nawpół zaspanych jeszcze, wziętych przez nas do niewoli bolszewików.

Załadowano ich do pociągu dopiero wczorajszego wieczora. Bolszewicy nie zdołali jeszcze przez tak krótki czas przyjść do siebie. To też rozglądali się dokoła, jak dzikie zwierzęta, wsadzone niedawno do klatki. A tu z wagonu ani na krok wyjść nie wolno! Dokoła całego pociągu bowiem snują się miarowym krokiem z karabinami na ramionach Poznańczycy. Bolszewicy wiedzą, że z Wielkopolanami niema żartów.

Do pociągu zbiegają się z różnych stron Rosyanie uchodźcy. Pędzi ich tam ciekawość: a nuż uda się im dowiedzieć cokolwiek o swoich krewnych lub znajomych? Inni chcieliby poprostu tylko napotkać swoich „krajanów".

— Tambowskich tam niema? — daje się słyszeć głos z tłumu.

— Nie wychylaj głowy! A nie, to strzelę!... — grozi Poznańczyk, srożąc umyślnie marsowo czoło. A wy, rozchodźcie się, jeśli który nie chce dostać bagnetem pod ziebro! — wygraża obległającemu pociąg tłumowi.

Duże morze głów zakołysało się w miejscu przez chwilę, poczem tłum cofnął się nieco wstecz. Bolszewicy trwożnie kryją się poza drzwiami wagonów. Nic dziwnego; przecież nie mieli dotąd jeszcze czasu odwyknąć od porządków bolszewickich, wedle których niemal zawsze okrzyk żołnierza poprzedza wystrzał karabinowy.

— Wychodzić! do szeregu!...

Niezgrabnie, po kilku naraz wysypują się jeńcy z wagonów. Ta armia Trockiego znajduje się w stanie, godnym pożałowania prawdziwego. Wprost nieprawdopodobnie brudni, w podartych bluzach, nierzadko bosi żołnierze, wyglądają jak potępieńcy z piekła Dantejskiego. Mało który z nich ma płaszcz. Stają do szeregu szybko, oglądając się jeden na drugiego, jak gdyby oczekiwali każdej chwili uderzenia kolbą karabinową, czego im nie żałowali niżsi komendanci bolszewiccy.

Prowadzą ich do łaźni.

Na sąsiednim bowiem torze stoi amerykański pociąg sanitarny, na którego wagonach widnieją olbrzymie litery „U. S." Monumentalne wagony, połączone jeden z drugim harmoniką skórzaną. Jakiż to kontrast rażący w porównaniu z pociągiem, wiozącym jeńców?! Tam nieprawdopodobny brud, tutaj zaś czystość niepokalana. Przez ogromne szyby w oknach widać bielutkie czepeczki sióstr miłosierdzia. Dla nich dzień już zaczął się.

Dymi się z kuchni. Dokoła nich uwija się służba. Zaspani uchodźcy rosyjscy czerpią z kotłów ukrop na „czaj". Rosyanin bowiem musi bezwarunkowo rozpocząć dzień od szklanki herbaty lub od kieliszka „oczyszczennoj". Inaczej go nie uczono w domu, jak tylko, że przeżegnawszy się trzykrotnie, należy napić się wódki i zakląć tak siarczyście, żeby to przekleństwo nie dało się przetłómaczyć na żaden język kulturalny.

— Ech tiebia k czortu!... „ruga" się już w wagonie jakiś bolszewik. Bez dyabła bowiem w Rosyi ani do proga!

Rozwód z powodu tyranii mężowskiej.

Brutalny mąż. — Tyran-ojciec. — Żona niewolnicą. — Bez pozwolenia pana nie wolno palić w piecu. — Skandaliczne sceny małżeńskie. — Oboje zawinili.

Londyn, w listopadzie.

(m-m) Przed trybunałem cywilnym w Londynie odbyła się rozprawa rozwodowa, która wzbudziła wielkie zainteresowanie w szerokich kołach londyńskiego „high life'u".

Mrs. Mary Everitt wniosła skargę rozwodową, motywując ją tem, że mąż ją tyranizował i brutalnie się z nią obchodził, — a major Everitt ze swej strony zażądał unieważnienia swego małżeństwa, ponieważ żona jego dopuszczała się zbrodni wiarołomstwa.

Zastępca prawny żony przedstawił sędziom w wymownych słowach wszystkie tortury duchowe i upokorzenia, na jakie pani Everitt była narażona, a które tak źle wpłynęły na jej ustrój nerwowy, że lekarze po dokładnej konsultacyi oświadczyli, iż rozłączenie się z brutalnym małżonkiem jest dla jej zdrowia konieczne.

Major Everitt nie tylko żonę, ale i dzieci, chłopca i dziewczynkę, traktował z bezwzględną brutalnością i doprowadził w końcu do tego, że dzieci, gdy posłyszały głos ojca, chowały się ze strachu pod łóżka. Nigdy nie odezwał się on do nich w tonie przyjaznym, nie dał im dobrego słowa. I ten właśnie zimny, twardy sposób postępowania zraził młodą kobietę do męża, budząc w niej myśl o rozłączeniu się z nim i tęsknotę do szczęścia z innym...

W lutym 1908 roku państwo Everitt pobrali się. Major liczył wtedy 45 lat, a jego żona 19. Była ona córką bogatego plantatora z Ceylonu. Wiele osób dziwiło się, że młoda, piękna i bogata panna zdecydowała się poślubić o tyle starszego od niej mężczyznę. Wbrew opinii, że starzy mężowie są dla młodych żon najlepsi i najczulsi, — major Everitt już w czasie miodowych tygodni dawał swej młodziutkiej małżonce powody do zazdrości. Kiedy nowożeńcy powrócili z podróży poślubnej do domu, mąż zabronił żonie wydawać jakiekolwiek polecenie służbie. Bez wiedzy pana domu nie wolno było załatwiać żadnych gospodarskich sprawunków, a jeśli młodej pani było zimno — to musiała zwracać się do męża z prośbą o pozwolenie zapalenia w piecu.

W lipcu 1909 rozegrała się pomiędzy małżeństwem podczas wspólnej przechadzki taka burzliwa scena, że Mary uciekła do swej przyjaciółki. Po pewnym czasie udało się majorowi nakłonić żonę do powrotu, ale wkrótce znowu przyszło do brutalnych scen, skutkiem których po raz drugi pani Everitt opuściła dom mężowski. Wówczas major napisał do żony list, w którym przeprasza ją i sam się oskarża, mówiąc n. p., że jest „najpodlejszym człowiekiem pod słońcem", że zna swoje wady i będzie się starał z nich wyleczyć się.

Obietnice te wszelkie okazały się płonne, bo młoda kobieta powróciwszy do męża, musiała znowu znosić te same przykrości i upokorzenia. W roku 1914 major wyruszył w pole, a w domu jego pozostał jako gość młody krewny, oficer gwardyi. Z nim to, jak również z domowym lekarzem, Jamesem Lawson, miała pani Everitt zdradzać męża.

Po powrocie z wojny znowu rozegrała się skandaliczna scena małżeńska, w czasie której major wypędził żonę z domu. Pani Everitt powróciła do ojca na wyspę Ceylon i dopiero na rozprawę rozwodową przybyła do Londynu.

Sędzia uznał, że wina była obustronna. Małżeństwo zostało rozwiązane, a dzieci przyznano matce.

ZYGZAKI.

Czy pokazywać nagie plecy?

(m-m) Wycięcie sukni kobiecej, śmiało obnażające plecy niekiedy do połowy lub jeszcze niżej — wywołuje w Anglii, kraju pruderyi i chudych miss żywą dyskusyę i zgorszenie. Aktorki hołdując na scenie tej modzie w demonstracyjny sposób — są surowo za ten brak skromności krytykowane. Jeden z wybitnych recenzentów teatralnych londyńskich pisze:

...niepodoba. Taki ekscentryczny we wszystkiem: w ubraniu, w pomysłach, w ruchach... Mówiono mi, iż podobno pragnie zapuścić brodę? To są obyczaje mężczyzny z półświatka! Nie chcę, abyś ty, człowiek uczciwy, nabrał perwersyjnych gustów w jego towarzystwie... Zresztą, dość już o tem!... Czy wyprowadzałeś dzieci na spacer?

Pan (tonem niepewnym) — Tak... Julcia nie ma już w co się ubrać. Musiałem więc pójść do Galeryi Guimat Phole. Kupiłem, jej... chusteczkę. Co do reszty nie jestem zdecydowany... Ale, ale! wiesz? udało mi się wyszukać cudowne rzeczy... Tym razem już mnie nie zwymyślasz... Wspaniała kamizelka z aksamitu Salome:.. czapeczka tagolowa różowa, przystrojona pękiem zielonych piórek... I wszystko to za ceny... powiadam ci... śmiesznie niskie ceny.

Pani (uśmiechając się). — Jesteś niepoprawny, mój drogi. Lecz jeżeli ci to sprawia przyjemność... Na szczęście zarabiam dosyć pieniędzy. Moje przedsiębiorstwa idą cudownie. A więc wydawaj jeśli masz ochotę... Co ja też mogłabym jeszcze wymyśleć, aby ci zrobić przyjemność?

Pan (zdenerwowany). — Chciałbym... chciałbym brać udział w twoich pracach, twoich zajęciach, pragnąłbym jak i ty zajmować się sprawami przemysłu i handlu... znać gorączkowe życie aferzystów... czuć na sobie odpowiedzialność...

Pani (oburzona) — Oszalałeś chyba mój biedny mały! Dlaczegoż nie żądasz też zaraz przywrócenia służby wojskowej? Tobie, mężczyźnie i zachciewa się pracy poza domem? Cóż za szalony pomysł! Byłoby to i nierozsądne i nieodpowiednie! Zresztą, mężczyźni są stworzeni do życia domowego... rodzinnego... do gospodarstwa...

Pan (wściekły). — Jesteśmy za głupi do zrozumienia walki o byt, nieprawdaż?

Pani — Zadawalajcie się waszymi obowiązkami i rolą, jaka wam przypadła w udziale. Wasze zadania są najpiękniejsze.

Pan (wybuchając oburzeniem). — **Tak, rola** niewolników! Otóż wiedz, że mamy jej już dosyć tej roli. Chcemy tych samych praw, jakie mają kobiety. Ta się nam należy!... Emencypacya! Maskulizm! Dość już feminizmu!...

Pani (zaniepokojona). — Nie denerwuj się, mó, drogi... No, bądź grzeczny... Zdumiewasz mnie... Uspokój się... Nie poznaję ciebie... Powiedz, kochanie, czy masz jakie zmartwienia? Zwierz mi się... Może chcesz, abym ci kupiła brylantowy naszyjnik?...

Pan (wyjąc). — Ja chcę głosować! Chcę głosować!...

Chce się podnieść z kanapy, słania się... Drżący... wybucha spazmatycznem łkaniem... pada zemdlony.

Pani (dzwoniąc). — Prędko, wody, cucących soli.. Mój Boże, biedny mały... Taki jest wrażliwy. Źle zrobiłam, zburczawszy go trochę...

Cuci go wodą. Pan otwiera oczy.

Pani (całując męża). — Oj, ty ty, dzieciaku!... No? już skończono, prawda? Uspokoił się mały? Zawsze będziesz mojem drogiem dużem dzieckiem!

Pan (uspokojony). — Powiedz mi, **czy mnie** jeszcze kochasz? Powiedz!...

* * *

W tej chwili ktoś mnie budzi, pochylając się nad mojem łóżkiem. Wszystko to był tylko sen. Żona moja mruczy kłótliwym tonem:, To prawdziwe nieszczęście! I to się nazywa mężczyzna! Śpi jeszcze o tej porze! Siódma godzina! No! wstawajże niedołęgo!!! Nie zapomnij, iż masz dzisiaj pójść do biura wojskowego po demobilizacyjną pensyę, a potem do twego biura, a potem masz czekać w ogonku na cukier i powinieneś napisać wreszcie jakiś bardzo śmieszny artykuł dla twego dziennika!!! Ach! a pamiętaj o zapłaceniu podatków!!!"

Wstałem z łóżka. Ubierając się myślałem nad tem, czy ten pan z 2019 r. nie był lekkomyślny i głupi pragnąc walczyć o prawa mężczyzny? Był przecież taki szczęśliwy, pozbywszy się tylu ciężkich, przytłaczających obowiązków kosztem kilku drobnych praw wątpliwej wartości.

Z franc. tłom. zl.

„Gdyby aktorki wiedziały, jak brzydką jest ta moda nagich pleców, to zawahałyby się tak niedostatecznie ubrane prezentować się publiczności. Oczywiście ma ta moda także swych zwolenników, na których czele stoi Alicya Delysia, znana piękność — ona to bowiem pierwsza wprowadziła w modę dekolt pleców. Z ujmującą szczerością odsłania ona tajemnicę nowego stylu:

„Moda ta nie jest i nie będzie brzydką — powiada miss Alicya — jeżeli tylko plecy są piękne i tualeta posiada estetyczną linię... Nie można dekoltować pleców, jeżeli się nosi krótką spódnicę... za to powłóczysta tualeta wymaga stanowczo takiego wycięcia.

Analogiczne zapatrywania wypowiada dyrektor jednego z londyńskich teatrów Charley Cochran: „Wszystko zależy od tego, jakie są plecy. Piękne plecy to widok godny bogów! Natomiast jeśli plecy posiadają defekty czy to pod względem linii czy pod względem karnacyi — to lepiej ich nie pokazywać.“

Pokazywać więc czy nie pokazywać pleców — oto jest problem, na którego rozwikłanie trzeba mieć dużo wolnego czasu i bardzo lekką głowę.

W rocznicę wyzwolenia.

Nabożeństwo w kościele Panny Maryi. — Pochód przed odwach. — Przemówienia. — „Niech żyje Ameryka“. — Zmiana warty. — Ze sztandarem do grobu Kościuszki. — Uczta w Saskim hotelu.

Kraków, 3 listopada.

(I.) Bez rozgłosu, lecz w podniosłem skupieniu święcił wczoraj Kraków wielką rocznicę, tem większą, że pierwszą i jedyną rocznicę dnia, który niezatartemi zgłoskami wyrył się na kartach dziejów naszych, dnia, o ziszczenie którego modliły się pokolenia, za wywalczenie którego ojcowie i dziadowie nasi szli w bój krwawy, konali w kazamatach Kuffsteinu i Szpitzbergu, znosili męczarnie w kopalniach Sybiru, — rocznicę dnia, dla którego w ostatnich latach zrodził się wielki, zbrojny Czyn polski — dnia Wyzwolenia.

Przed godziną 10 rano spieszyły tłumy do Maryackiego kościoła, wspominając niezapomnianą nigdy chwilę, kiedy to dnia 31 października 1918 roku przestało miasto nasze wchodzić w skład „monarchii austryacko-węgierskiej“, a wróciło na prawowite łono państwa polskiego, gawędząc o owych podniosłych momentach, kiedy to po raz pierwszy po latach hańbiącej niewoli zdzierano z budynków rządowych znienawidzone orły austryackie, odcinano z czapek żołnierzy austryackie bączki, aby na ich miejsce założyć białe orzełki, kiedy to na odwachu na Rynku po raz pierwszy od lat tylu stanęła polska warta i powiał sztandar z białym orłem.

Uroczystość, urządzoną staraniem Straży Polskiej i Komitetu obywatelskiego, rozpoczęło

NABOŻEŃSTWO W KOŚCIELE MARYACKIM,

odprawione przez ks. infułata Wądolnego, w licznej asyście. Stalle po prawej stronie zajęła wojskowość, z generałami Symonem i Stillerem, oficerowie uczestnicy zeszłorocznych wydarzeń, po lewej stronie nawy zasiedli członkowie Rady miejskiej z prezydentem Federowiczem, Rollem, Sarem i Bandrowskim, w środku zaś między stallami skupili się uczestnicy zeszłorocznych wydarzeń, z podpułkownikiem Piątkiewiczem i prof. Pachońskim, skauci, Straż Polska z prezesem Wodzinowskim, Koło Pań T. S. L. z p. Siedlecką, młodzież szkół średnich, cechy ze sztandarami. Resztę świątyni wypełniła publiczność.

Po skończeniu sumy pod stropy świątyni wzbiła się pieśń „Te Deum laudamus“, ów hymn dziękczynny, którym przodkowie nasi święcili jasne chwile zwycięstw pod Kirchholmem i Cecorą, który dźwięczał na Jasnej Górze po bohaterskiej obronie Częstochowy i wznosił się w Świętojańskiej katedrze w Warszawie w chwili uchwalenia wiekopomnej ustawy majowej.

„Te Deum“ zostało odśpiewane równocześnie we wszystkich świątyniach krakowskich.

Po nabożeństwie, wychodzącym z kościoła oficerom i żołnierzom panie komitetowe przypinały odznaki czerwone ze srebrnym orzełkiem.

Przed kościołem trzymała straż kompania honorowa szkoły podoficerskiej 20 pułku.

PRZED GŁÓWNYM ODWACHEM.

(T) O godzinie 11'30, po ukończeniu nabożeństwa w kościele N. P. Maryi, cały pochód, poprzedzony przez kompanię piechoty 20 p. p., za którą postępowali przedstawiciele tutejszych władz wojskowych i cywilnych, prezydyum miasta, przybyli z Ameryki dziennikarze i wysłannicy Polaków amerykańskich, przy dźwiękach muzyki wojskowej, — udał się wzdłuż Linii A—B i C—D, przed główny odwach, gdzie rok temu wojska nasze objęły po Austryakach straż nad miastem.

Na ubraną zielenią mownicę wstąpił prezes Straży Polskiej, p. Wincenty Wodzinowski i witając zebranych, zaznaczył, że dzisiejsza uroczysta rocznica oswobodzenia miasta od wrogów jest symbolem naszego nowego życia, że upragniona i uzyskana wreszcie wolność powinna pobudzić nas wszystkich do owocnej pracy dla dobra i zupełnego odrodzenia naszej Ojczyzny.

Na trybunę wszedł drugi mówca, prezydent miasta Federowicz i w te mniej więcej odezwał się słowa:

Szczęśliwie dożyliśmy pierwszej rocznicy oswobodzenia naszego miasta od zaboru austryackiego. Za przykładem Krakowa poszły wówczas inne miasta — poszedł wreszcie naród cały.

Kto przejrzał historyę ojczystą, ten się przekonał, że Kraków w przełomowych chwilach narodu odgrywał zawsze decydującą rolę.

Stąd szły owe bohaterskie porywy, które następnie elektryzowały cały naród do wielkich czynów.

Siedmdziesiąt trzy lat mija, odkąd dwugłowy orzeł czarnemi pióry, jak kirem, okrył swobodę Krakowa. Aż nam dopiero Stwórca pozwolił dożyć, żeśmy własnemi rękami mogli ten znienawidzony znak zedrzeć i zdeptać go na wieki.

Rada miasta uchwaliła rocznicę oswobodzenia Krakowa obchodzić corocznie **po wieczne czasy, jako wielkie święto narodowe.**

Na pamiątkę przyszłym pokoleniom wmurujemy w starożytną wieżę ratuszową tablicę, że Kraków pierwszy obudził do lotu orła białego, aby rozpuścił skrzydła nad całą Ojcowizną naszą.

W pierwszą rocznicę wolności — zakończył prezydent — ślubujmy tu na Rynku krakowskim zgodę i jedność — i wzorem naszych rodaków z Ameryki nie skąpmy jej pracy, pracy i jeszcze raz pracy, byśmy mieli wysłużone prawo krzyknąć:

Niech żyje Ojczyzna! — niech żyje Rzeczpospolita polska!

Następnie przemawiał Włodzimierz Tetmajer, podnosząc w swem przemówieniu to, że Kraków był zawsze i jest ową ostoją i centrum polskości, owem ogniskiem, skąd rozchodzi się ciepło miłości Ojczyzny po całej Polsce.

P. Skarbek przemawiając, podniósł **dzielność żołnierza polskiego, który swą krwią i swą dzielnością — i tylko żołnierz polski buduje i wyznacza granice państwa polskiego** — a nie konferencye pokojowe.

Aż wreszcie stanął na mównicy generalny konsul polski w Ameryce, p. Konstanty Buszczyński i pozdrowił zebranych słowami braterskiej miłości amerykańskich braci naszych Polaków, Pan Buszczyński właśnie przybył z Ameryki i przywiózł piękny sztandar, (z którym stanął na mownicy), biały orzeł polski, wyszywany na amarantowym jedwabiu, dar obywateli Amerykanów Towarzystwa Cyncynatów (założonego jeszcze przez pierwszego prezydenta Stanów Zjednoczonych, Washingtona), w hołdzie dla naczelnika Kościuszki. Pan konsul Buszczyński w swej przemowie określił miłość Amerykanów dla naszego narodu i opowiedział o rozmowie swej z senatorem Hooverem i jego słowa uwielbienia i podziwu dla armii polskiej. P. Buszczyński wzniósł okrzyk na cześć Ameryki, a muzyka zaintonowała hymn amerykański.

Przy końcu zabrał głos delegat Polonii amerykańskiej, p. Wallen, który w imieniu naszych braci z za Oceanu wyraził gotowość do wszelkich ofiar materyalnych i moralnych.

Po przemowach nastąpiła uroczysta zmiana warty przy dźwiękach muzyki dzielnych kolejarzy krakowskich, którzy podobnie, jak rok temu ze swym sztandarem przyszli przed odwach.

Po skończonej uroczystości wyruszyła delegacya z konsulem Buszczyńskim i z dziennikarzami amerykańskimi na Wawel, aby tam u stóp grobu Naczelnika Kościuszki złożyć sztandar z Ameryki.

UCZTA W SASKIM HOTELU

zespoliła wszystkich przy wspólnym stole uczestników przewrotu z roku 1918. Przy ustawionym w podkowę stole zajęli z ówczesnych działaczy miejsca hr. Skarbek, hr. Lasocki, Wł. Tetmajer, Karol Haller, Wodzinowski, prof. Krajewski, prof. Pachoński i cały szereg oficerów z gen. Symonem na czele. W gronie tem widzieliśmy brygadyera Latinika, kap. Stawarza, por. Iwaszkę, kap. Piotrowskiego i Niewiadomskiego. Jako gości podejmowano weteranów z 1863 roku z p. Krzyżanowskim na czele. Toasty rozpoczął jako działacz główny z 31 października 1918 r. hr. Skarbek, przemawiali Włodz. Tetmajer, Wodzinowski, gen. Symon, bryg. [illegible] imieniem odbitego Śląska i Ślązaków. **kap. Piotrowski** wzniósł toast na cześć tych, którzy w boju o Polskę zginęli i nie doczekali radosnego dnia odrodzenia, **hr. Lasocki** rzucił garść wspomnień z chwil przełomowych, por. **Iwaszko** na cześć **kap. Stawarza**, którego nazwisko pozostanie na zawsze w pamięci każdego Polaka, dr. Szczepański na cześć tych, którzy w Małopolsce, tym osierdziu Krakowa, będącego sercem Polski, samorzutnie obejmowali dowództwa i budowali wojsko polskie. Szereg toastów zakończył reprezentant Górnego Śląska, p. Świętek Franc., przedstawiając moralne i materyalne stosunki w tej prastarej dzielnicy Polski.

Zainicyowana podczas uczty składka na Górny Śląsk dała poważną kwotę.

Cenzura u schyłku monarchii austryackiej.

W rozmaitych feljetonach i artykułach, poświęconych albo samym chwilom przewrotu w Krakowie, lub okresowi, który ten przewrót poprzedził, wymieniono szereg nazwisk, dość luźnie z faktami związanych. Uważamy za swój obowiązek podnieść **wielce patryotyczne i obywatelskie stanowisko urzędników cenzury krakowskiej z roku zeszłego**, a głównie dra Błahuta. Jak wiadomo, cenzura prewencyjna za czasów, które poprzedzały upadek Austryi, szalała coraz więcej, a każda klęska, czy to Austryi na włoskim froncie, czy Niemiec na zachodnim teatrze wojny, pociągała za sobą szereg **represyi prasowych.** Redaktorom dzienników krakowskich znane są dobrze trudności i szykany na jakie narażali się urzędnicy cenzuralni, jeżeli przepuścili notatkę, otwierającą oczy tumanionemu austryackimi komunikatami przez cztery lata czytelnikowi gazet. Dziś, gdy przeżywamy chwile wspomnień owych wielkich dni z ubiegłego roku, nie należy zapominać stanowiska cenzury, która oficyalnie austryacka, urzędowała przecież w sposób ułatwiający w znacznym stopniu pracę informacyjną dziennika polskiego.

Cenzura austryacka zniesioną została rozporządzeniem min. spraw wewn. z dnia 28 października 1918, do tej chwili bowiem przed ukazaniem się musiały dzienniki przesyłać odbitki do gmachu przy ul. Zacisze, gdzie mieścił się urząd cenzuralny, złożony z przedstawicieli wojskowości, prokuratoryi i policyi.

Bezpośrednio po ogłoszeniu wiadomości o manifeście Rady Regencyjnej z dnia 7 października, który proklamował zjednoczenie ziem polskich, — wydał „Goniec Krakowski“ **nadzwyczajne wydanie, którego nie posyłaliśmy do cenzury**, zawierało ono bowiem wiadomości o nastroju stolicy. Jakiś patryota austryacki zawiadomił o tem Wiedeń, który zabrał się do „śledztwa“, zanim jednak ono nastąpiło, Austrya rozleciała się w kawałki.

tam dostać, przejść trzeba przez okropne pustkowie Ta-nezkruft.

— Seger-ben-Szeik wie o tem — odrzekł niecierpliwie Berber — wie on dobrze, że to straszna, bezwodna płaszczyzna, gdzie ludzie giną, jak muchy z braku wody, gdzie wielbłądy dziczeją, bo skoro raz tam zabłądzą, to nikt ich nie szuka, nie chcąc się zabłądać w ten kraj okropny; ale to właśnie jest waszem ocaleniem. Wielbłąd mój przewiezie was, jak strzała, przez suchą równinę. Zresztą nie macie innego wyboru, jak jechać tamtędy, lub zamordowanym być na każdej innej drodze. A może wolisz zostać tutaj? — dodał z odcieniem szyderstwa.

— Nie! nigdy, wybór mój jest zrobiony, wszystko, tylko nie to.

— Dobrze! Uważaj więc; tu masz plan drogi od miejsca, w którem opuścisz Atlantydę. Wyprowadzę was stroną południową, potem masz plan nakreslony, wszystkie studnie wyznaczone, lecz nie rachuj na nie zbytnio, bo przeważnie będą wyschnięte. Musicie też bardzo oszczędzać wodę. A staraj się nie zboczyć, bo będzie to pewna śmierć. Teraz wsiadajcie oboje na wielbłąda, wyprowadzę was stąd.

Jechaliśmy długo w milczeniu, Seger-ben-Szeik szedł przodem, a Mehari stąpał za nim posłusznie. Przechodziliśmy kolejno przez ciemne korytarze i skaliste wąwozy, każde wejście było doskonale zamaskowane, plątaniną skał i krzaków.

Wreszcie wionęła na nas upalna fala powietrza, ciemno-czerwony blask zaświtał u wyjścia z wąwozu. Przed nami leżała już pustynia.

Tu Seger-ben-Sziek zatrzymał wielbłąda.

— Zsiadajcie! — rzekł do nas.

Świeże źródło biło tu żywym strumieniem. Berber nabrał wody do skórzanego puharka i podał nam ją do ust.

— Pijcie! — mówił — pijcie, jak najwięcej, tyleż oszczędzicie ze swych zapasów w tykwach; a starajcie się teraz nie pragnąć, aż do zachodu słońca. Opatrzył starannie luki wielbłąda.

— Wszystko w porządku, za dwie godziny świt, za dwie godziny powinniście nam zniknąć z oczu.

Ogarnęło mnie w ostatniej chwili zdumienie z powodu postępku Berbera. Wziąłem go na stronę i rzekłem mu:

— Dziękuję — rzekłem, odwracając się na siodle, dziękuję Seger-ben-Szeiku i żegnaj mi.

— Do zobaczenia, poruczniku de Saint-Avit — zabrzmiał za mną daleki już, szyderczy głos.

ROZDZIAŁ XXII.

WŚRÓD ŻARU PUSTYNI.

W pierwszej godzinie naszej ucieczki mehari Seger-ben-Szeika uniósł nas szalonym, zawrotnym pędem przejechaliśmy jednym tchem conajmniej pięć mil. Wlepiałem wciąż wzrok we wzgórze, wskazane mi przez Berbera, którego szkielet rósł ciągle i zwiększał się na tle bladego nieba. Szybkość, z jakąśmy mknęli, wytwarzała dokoła nas leciutki wicherek, wielkie grupy Retenlow uciekały po obu stronach na prawo i lewo, jak ciemne kościotrupy. Nagle usłyszałem za sobą szept Tanit-Zergi:

— Zatrzymaj wielbłąda.

Nie rozumiałem, czego chce.

— Zatrzymaj go! — powtórzyła, ściskając mocno moje prawe ramię.

Usłuchałem, ale niechętnie; wielbłąd zwolnił kroku.

— Słuchaj! — rzekła mała.

Z początku nie usłyszałem nic, potem odróżniłem, jakby leciutki tupot drobnych stóp.

— Zatrzymaj wielbłąda — rzekła raz jeszcze Tanit-Zerga — niema potrzeby, aby przyklękał.

W tej chwili małe, zwinne stworzenie skoczyło jej na ręce; była to łasiczka Gale. Usadowiła się na grzbiecie wielbłąda, który puścił się dalej rączego kłusa.

— Zostaw ją! — mówiła Tanit-Zerga — wytropiła nas i biegła śladem wielbłąda, aż nas doścignęła.

Pogładziłem ręką zwichrzoną sierść; dzielne, uczciwe zwierzątko dyszało ciężko, zwolna jednak oddech jej stał się normalny.

— Szczęśliwa jestem! — szepnęła Tanit-Zerga wśród dalszej, zawrotnie szybkiej jazdy. — Seger-ben-Szeik dobrze nam wywróżył i wraz ze wschodzącem słońcem zrównaliśmy się ze wskazanem przez niego wzgórzem. Spojrzałem w tył. Atlantyda przedstawiała się już jako potworny splot czarnych skał i nie mogłem już nawet odróżnić skalnej piramidy, pod której cieniem knuła Antinea swe miłosne intrygi.

Wiesz oczywiście, czem jest Tanezkruft, typowa płaskowyżyna, kraj opustoszały, całkiem niezamieszkany, kraj głodu i pragnienia. Znajdowaliśmy się w tej chwili w tej części pustyni, którą Duverier nazywa południowem Tassili i która figuruje na mapie ministeryum pod tym ponętnym tytułem. „Płaskowyż skalisty, bez wody i roślinności, kraj niegościnny dla ludzi i zwierząt“. Niema w całej pustyni prócz chyba w Kalahari, dzikszej miejscowości, jak to pustkowie kamienne, nie omylił się też Seger-ben-Szeik, twierdząc, że nikt nas tu ścigać nie będzie.

Wszelako mrok upierał się i nie odchodził, rzucając przed nami ciemne, przyziemne pasy. W głowie mojej plątały się wspomnienia i powtarzałem słowa Kiplinga z „Zwodniczych świateł“: „I zdało się Dikowi, że od prapoczątku wszechrzeczy nie robił nic innego, tylko pruł fale powietrzne, siedząc na grzbiecie mehari“. Zaśmiałem się z siebie, z powodu, iż bawię się w literackie cytaty, wnet jednak przypomniała mi się noc poprzednia i zadrżałem wewnętrznie. Wszak to, co przeszedłem, to była także jakby scena z dramatu.

Seger-ben-Szeik liczył nam ośm dni jazdy, zanim przybędziemy do zalesionej części kraju, po której następują porosłe trawą stepy Sudanu. Nie przecenił też wartości swego wielbłąda. Tanit-Zerga ochrzciła go natychmiast po swojemu, mianując go El-Mellen Biały, miał bo też nieskazitelnie białą maść. Przebył raz dwa dni bez jadła, skubnąwszy zaledwie tu i ówdzie parę gałązek gumowej akacyi. Studnie zapowiedziane przez Seger-ben-Szeika znajdowały się istotnie we wskazanych miejscach, lecz nie było w nich wody, a tylko rozgrzane żółte błoto. Wystarczyło ono dla wielbłąda, my zaś tak oszczędzaliśmy wodę, że w ciągu pięciu dni zużyliśmy zawartość jednej tylko tykwy. Wtedy mogliśmy już przypuszczać, że jesteśmy ocaleni. Obozując przy jednej z tych błotnych kałuż, upolowałem z karabinu małą gazellę stepową o prostych rogach; Tanit-Zerga oprawiła ją i mieliśmy wcale przyzwoitą pieczeń, przyrumienioną w miarę. W czasie popasów naszych mała łasiczka Gale myszkowała po skalnych szczelinach i upolowała długiego na trzy łokcie urane, krokodyla pustyni, któremu skręciła wnet szyję i tak się potem uraczyła, że leżała bez duszy i musieliśmy napoić ją wodą, by ułatwić trawienie. Wyszło na to niemal pół kwarty kosztownego napoju, lecz nie poskąpiliśmy jej go, bośmy się czuli szczęśliwi.

— Musimy zaraz wyruszyć.

— Tak moja mała, lecz musimy iść pieszo.

Tupnęła nogą niecierpliwie; ucieszyłem się, widząc ją tak silną.

— Musimy zaraz wyruszyć; zjemy wpierw i wypijemy, bo czeka nas cała noc bez wody. Damy także jeść Gale, bo nie możemy zabrać wszystkich puszek z konserwami; przytem tykwa jest tak ciężka, że nieść jej nie możemy, bo nie uszlibyśmy i dziesięciu kilometrów. Nabierzemy więc wody do jednej puszki z konserw, wypróżniwszy ją przez dziurkę. To nam wystarczy na pierwszy etap. Jutro wieczór, po odpoczynku, wyruszymy znów i znów zrobimy 30 kilometrów, a nad ranem będziemy przy studni, którą nam wskazał Seger-ben-Szeik.

— Ach! — wyszeptałem zgnębiony — gdyby nie moje ramię, mógłbym udźwignąć tykwę.

— To trudno, będzie jak jest. Weźmiesz karabin i dwie puszki konserw, ja wezmę także dwie, a prócz tego wodę. Śpieszmy się, trzeba wyruszyć za godzinę, bo wiesz przecie, że skoro słońce wstanie, skały są tak rozpalone, że nie można po nich stąpać.

Zasiedliśmy do posiłku w posępnem milczeniu, jakże smutno kończył się ten etap, zaczęty tak pogodnie. Zdaje mi się, że gdyby nie Tanit-Zerga, usiadłbym apatycznie na skale i nie ruszył się krokiem. Gale tylko była wesoła.

— Nie trzeba jej przekarmiać, bo nie mogłaby zdążyć za nami — mówiła Tanit-Zerga. — Zresztą jutro będzie musiała pracować, a jeśli upoluje jaką zwierzynę, to my ją zjemy.

Jeżeli chodziłeś pieszo w pustyni, wiesz, że najgorsze są pierwsze godziny w nocy; skoro księżyc wejdzie olbrzymi, żółty, a miałki pył podnosi się i leci przed nami duszący i cierpki, człowiek machinalnie porusza szczękami, jakby chciał przeżuwać ten pył, który zapada mu w gardło i pali podniebienie. Potem przychodzi nawyknienie i rodzaj senności, jakby lunatyzmu, idzie się wciąż, nie myśląc, zapominając prawie, że się idzie; przymuszać się trzeba, żeby sobie to przypomnieć. Przypomina o tem chyba, gdy się utknie o coś po drodze, a zdarza się to dość często; no i wreszcie staje się to znośne. Człowiek krzepi się myślą, że się noc wkrótce skończy, a z nią przyjdzie koniec etapu i odpoczynek.

Lecz noc kończy się i ta właśnie godzina jest najstraszniejszą. Wędrowiec umiera z pragnienia i drży z

— Powiedz Seger-ben-Szeik dlaczego to zrobiłeś, dlaczego?

— Dlaczego? — powtórzył.

— No tak.

— Nasz prorok — rzekł poważnie — pozwala sprawiedliwemu poświęcić raz w życiu obowiązek dla miłosierdzia. Seger-ben-Szeik korzysta dziś z tego pozwolenia, aby uratować ci życie, ponieważ ty uratowałeś poprzednio moje.

— A czy nie boisz się, by nie powtórzył Francuzom, co się tu dzieje, bym nie odsłonił im tajemnic Antinei?

— O nie! — odparł Seger-ben-Szeik, a głos jego stał się ironicznym — nie boję się tego Sidi-poruczniku; wszak nie zależy ci chyba na tem, aby ludzie z twego kraju dowiedzieli się, jak zginął kapitan Morhange, będziesz więc milczał.

Zadrżałem na tę odpowiedź tak logiczną.

— Być może należało mi zabić małą Tanit-Zergę — mówił dalej Berber — ale ona cię kocha, więc milczeć będzie dla ciebie. No! jedźcie już, wkrótce już zadnieje.

Chciałem uścisnąć dłoń tego dziwnego zbawcy, lecz on cofnął się, usuwając rękę.

— Nie dziękuj, niema zaco, nie zrobiłem tego dla ciebie, a dla siebie, aby mieć zasługę przed Bogiem. Wiedz o tem, że drugi raz nie zrobiłbym czegoś podobnego dla nikogo, ani dla ciebie.

— A skoro upewniłem go, że nie będzie miał sposobności trudzić się dla mnie po raz drugi, rzekł głosem fatalistyczno-drwiącym, który dźwięczy mi dotąd w uszach:

— Nie przecz, poruczniku; to, co zrobiłem, jest dobre dla mnie, ale nie dla ciebie. Nie dla ciebie — powtórzył — bo ty powrócisz, a wtedy nie licz już na uczynność Seger-ben-Szeika.

— Powrócę? — odrzekłem drżący — mam tu powrócić?

Berber stał ciemny i wysoki u stóp szarej skały.

— Powrócisz! — powtórzy z mocą. — Uciekasz teraz, ale mylisz się, jeśli ci się zdaje, że patrzeć będziesz na świat temi samemi oczyma. Jedna myśl towarzyszyć ci będzie wszędzie, jedno pragnienie i ścigać cię będzie, gdziekolwiek pójdziesz, tak, że kiedyś za rok, za dwa, za pięć, za dziesięć może, przejdziesz przez wąwozy te i korytarze, z których dziś uciekasz.

— Milcz, Seger-Ben-Szeik! — krzyknęła rozpaczliwie Tanit-Zerga.

— Milcz ty sama, mała, czarna mucho — mówił Berber, śmiejąc się urągliwie. — Mała boi się, bo wie, że to, co mówię, jest prawdą,bo wie, jak to było z porucznikiem Ghilberti.

— Ghilberti? cóż było z tym oficerem? — spytałem, czując, jak mi pot zwilżył skroń z wewnętrznego wzruszenia.

— Tak, to był pewien włoski oficer, którego spotkałem na pustyni przed ośmiu laty i przyprowadziłem, jak innych Antinei. Kochał się w niej, jak drudzy, lecz kochał także życie, więc nie chciał dostać się do sali mumii. Próbował uciekać i udało mu się, nie wiem jak, bo ja mu nie pomagałem. Uciekł więc i powrócił do swego kraju. A potem wiesz, co się stało? We dwa lata, w ten sam dzień, co do minuty prawie, znalazłem go u stóp góry, wiodącej do Atlantydy. Zęckany był, zczerniały, w łachmanach, bo błąkał się długo, zanim odnalazł nas w pół żywy z głodu i pragnienia. Powrócił więc porucznik Ghilberti do Antinei, a mumia jego znajduje się w niszy numer trzydziesty dziewiąty.

Opowiadanie to zakończył Berber suchym śmieszkiem.

— Taką jest historya porucznika Ghilberti; chciałeś ją znać, więc ci ją powtórzyłem, ale dość już o tem. Siadajcie na wielbłąda.

Usłuchałem w milczeniu. Tanit-Zerga siadła za mną i objęła mnie wątłemi rączynami. Seger-ben-Szeik trzymał uzdę naszego wierzchowca.

— Jeszcze słowo — rzekł do mnie, ukazując mi na widnokręgu czarną plamę, rysującą się na fioletowem tle nieba. — Widzisz tę górę; w tę stronę musicie jechać, leży ona o jakie trzydzieści kilometrów stąd, staraj się nie stracić jej z oczu, a zrównać się z nią powinniście, zanim słońce wstanie. Skoro tam będziesz, spójrz na plan, który ci dałem, tam jest wyznaczony pierwszy drogowskaz i dalsze; jeśli się ich będziesz trzymać, za ośm dni staniecie w Telemsi.

Wielbłąd nasz wyciągnął już szyję w stronę ciemnego wiatru, który szedł od południa. Berebr puścił uzdę wielbłąda i rzekł z szerokim gestem:

— A teraz w drogę!

Tanit-Zerga była promienna i widziałem, jak się czuje szczęśliwą z powodu, iż nie myślę w tej chwili o kobiecie w dyademie szmaragdowym, która rządziła Atlantydą. I w samej rzeczy nie myślałem teraz o niej, myślałem natomiast o żarnym upale pustyni, o tykwie z koźlej skóry, którą trzeba było zagrzebać w ziemi na godzinę przynajmniej, aby woda pozostała świeżą, o niewymownej rozkoszy, jakiej doświadczyłem, przychylając do ust skórzany kubek, wypełniony tą zbawczą wodą. Twierdzę też całkiem stanowczo, że wielkie namiętności mózgowe, czy zmysłowe są udziałem ludzi wypoczętych, dobrze najedzonych i napojonych.

Była piąta godzina wieczór, upał zmniejszał się, siedzieliśmy oboje w rozpadlinie skalnej, gdzieśmy sobie urządzili wypoczynek na płaskim kamieniu, patrząc na purpurowy zachód. Rozłożyłem na kolanach papierowy plan drogi, powierzony mi przez Seger-ben-Szeika, gdzie były oznaczone wszystkie etapy, wiodące do Sudanu. Stwierdziłem z radością, że marszruta była dokładna i że nie zboczyliśmy z niej ani na włos.

— Pojutrze wieczór — rzekłem — dojedziemy do przedostatniego etapu, następnego zaś dnia, o świcie, będziemy już w Telemsi i nie będziemy potrzebowali troszczyć się o wodę.

Oczy Tanit-Zergi zaświeciły w smagłej jej, wychudzonej twarzyczce.

— A G a o ? — zawołała — kiedy zobaczę Gao?

— Seger-ben-Szeik mówił, że znajdziemy się o tydzień drogi od Nigru i jechać będziemy pod sklepieniem kwitnącej mimozy.

— Znam dobrze mimozy — odrzekła Tanit-Zerga. — Śliczne, złote, pachnące kulki, które topnieją w ręku, lecz piękniejsze są jeszcze kwiaty kaparu, których pełno kwitnie w mojej ojczyźnie. Pojedziesz ze mną do Gao. Obaczysz, jak cię tam przyjmą. Choć mój ojciec zginął zabity, jakem ci to opowiadała, ale nasi ludzie z pewnością już odbudowali miasto. Obaczysz, jak nas powitają.

— Pójdę tam z tobą, Tanit-Zerga, przyrzekam ci, ale i ty musisz mi jedno przyrzec.

— Co? Wiem już, odgaduję. Za kogo mnie bierzesz? Czy myślisz, że mogłabym cię zdradzić, że powiem coś o tych różnych rzeczach, któreby mogły ci zaszkodzić?

Mówiąc to, patrzyła na mnie wymownie. Trudy wędrówki uduchowiły jej ładną, smagłą twarzyczkę, wśród

której błyszczały czarne źrenice olbrzymie, rozszerzone. Tanit-Zerga była w tej chwili bardzo piękna. Później dopiero zdołałem za pomocą kompasu i map ustalić miejsce, gdzie mówiła to i gdzie odczułem po raz pierwszy piękność jej oczu i zrozumiałem ją.

Zamilkliśmy oboje i wielka cisza osiadła między nami; ona pierwsza przerwała ją:

— Noc zapada, musimy coś zjeść, aby wyruszyć przed świtem.

Powstała i poszła w stronę skał, lecz zaraz potem usłyszałem jej głos tak rozpacznie trwożny, że krew mi zastygła w żyłach.

— Chodź! chodź! obacz sam.

Jednym skokiem byłem przy niej.

— Wielbłąd! — wyszeptała z rozpaczą — wielbłąd!

Spojrzałem i zrozumiałem, a śmiertelny dreszcz przebiegł mi po kościach.

Wielbłąd leżał wyciągnięty na ziemi i robił bokami, od czasu do czasu tułowiem jego wstrząsały drgawki. El Mellen dogorywał. Nie potrzebuję wspominać, jak żarliwie ratowaliśmy biedne zwierzę. Nie wiem jednak dotąd, z czego zginął. Tak właśnie bywa z tymi, rasowymi mehari, są tam razem najmocniejsze i najwątlejsze wierzchowce. Mogą przez całe miesiące znosić najcięższe trudy wśród najgorszych warunków. Aż naraz przychodzi dzień, w którym choć im nie brak, padają nagle i wypowiadają ci służbę całkiem niespodzianie. Skoróśmy zobaczyli, Tanit-Zerga i ja, że niema żadnej rady, podnieśliśmy się z klęczek i patrzyliśmy biernie na podrygi zwierzęcia, które stawały się coraz rzadsze, aż całkiem ustały; a gdy wielbłąd wydał ostatnie tchnienie, czuliśmy, jakby i nasze życie ulatywało wraz z niem. Tanit-Zerga przemówiła pierwsza:

— Jak daleko jesteśmy od Sudanu?

— Jesteśmy o dwieście kilometrów od Uedu Telemsi; moglibyśmy zyskać jakie trzydzieści kilometrów idąc na Meruane, lecz tam niema wyznaczonych studni.

— Pójdziemy zatem do uedu Telemsi — rzekła stanowczo — dwieście kilometrów, to siedm dni.

— Conajmniej siedm dni, Tanit-Zergo!

— A gdzie jest pierwsza studnia?

— O sześćdziesiąt kilometrów stąd.

Rysy jej ściągnęły się na te słowa, lecz natychmiast otrząsnęła się z przygnębienia.

Paskarska awantura w kawiarni.

Paskarze łapią złodzieja. — Krwawa awantura. — Jęki i brzęk szyb. — Pol cya. — Złodziej ucieka po rynnie.

Kraków, 3 listopada.

(T) Wczoraj o 6 g. wieczorem cicha, zadymiona i „zaczytana" kawiarnia Skrynkowicza była miejscem niezwykłej (co do dyalogów), a nawet krwawej burdy, — która, gdyby nie interwencya kilku gości a wreszcie policyi, skończyłaby się była tragicznie.

Oto kilku gości z p. W. P. na czele ujęli (jak później zeznawali) złodzieja czy też oszusta p. F., którego w dotkliwy sposób pobili, robiąc skandaliczną burdę w kawiarni, wybijając szybę etc.

Pan F., (który zresztą cieszy się opinią nie najlepszą) „naciągnął p. N. P. et consortes na dużą ilość tytoniu wartości kilkadziesiąt tysięcy koron, którym poszkodowani handlowali. Obecnie napotkany przez bezwzględnych paskarzy, otrzymał tęgie „lanie". Gdy wreszcie wezwana policya chciała interweniować w tej sprawie, sprytny a mający widocznie dużo grzechów na sumieniu p. F. dał drapaka, uciekając oknem po rynnie na podwórze. Niemiła ta paskarsko-złodziejska awantura bardzo zgorszyła obecnych w kawiarni szachistów i polityków.

Chwila bieżąca.

Kalendarzyk.

Poniedz. 3 listopada

Św. Huberta

Wschód słońca 7·34

Zachód słońca 5·16

Długość dnia 10·36

TEATR IM. JUL. SŁOWACKIEGO:

Poniedziałek: „Dziady" A. Mickiewicza.
Wtorek: „Makbet" Szekspira.
Środa: „Polityka" Wł. Perzyńskiego.
Czwartek: „Dziady" A. Mickiewicza.
Piątek: „Makbet" Szekspira.
Sobota: „Dziady" A. Mickiewicza.
Niedziela popoł.: „W małym domku" T. Rittnera.
Wieczór: „Makbet" Szekspira.

TEATR „BAGATELA".

Dziś: „Hiszpańska Mucha".
Wtorek: „Dudek".

TEATR POWSZECHNY:

Dziś: „Młynarz i jego córka".

OPERETKA W NOWOŚCIACH.

Poniedziałek: „Cnotliwa Zuzanna".
Wtorek: „Cnotliwa Zuzanna".

WYKŁADY W DOMU ARTYST. (pl. św. Ducha).

Poniedziałek 3 listopada, art. dram. Julian Dobrzański: „Bajki Lemańskiego" (godzina recytacyi).
Wtorek 4 listopada, Jan Pietrzycki: „Jacy to aktorowie i jakie teatry bywały w dawnej Polsce".

KOLLEGIUM WYKŁADÓW NAUKOWYCH (Rynek główny A—B. L. 39).

Poniedziałek o godz. 5: prof. Ludwik Skoczylas: „Kurs literatury powszechnej 19 w. O godzinie 7: prof. Ludw. Skoczylas: „Młoda Rosya".

KURSA LITERACKIE (ulica św. Anny L. 2).

Wtorek, Dr. Kopera: „Kostyum w teatrze".

—o—

Organizacya policyi polskiej.

Przed paru dniami do Warszawy przybył pułk. Marcready i pułk. Meller na czele angielskiej delegacyi instruktorów policyjnych. Przybycie ich zawdzięczać należy staraniom ministra spraw wewnętrznych Wojciechowskiego.

Nie doczekali.

Nie doczekali... ci co przez noc niewoli i ucisku do jutrzenki swobody, do wyzwolenia dążąc bram, wierzyli wbrew rzeczywistości, ufali wbrew zwątpieniu, że „ta co nie zginęła" powstanie z ich przelanej krwi...

Bohaterowie z pod Samosierry, z pod Grochowa, z pod Małogoszczy, z katorg Sybiru, z więzień Cytadeli, z lochów Puffensteinu i Spielberga nie doczekali...

Jak szeroko, dalego myśl ludzka sięgnie od piasków i skał San Dominga aż do śnieżnych sybirskich pól, na wszystkich krańcach świata rozsiane ich groby... I na tych mogiłach, po obcych ziemiach rozrzuconych nie zabłysło pewnie w dniu zaduszaych dni jedno światełko, nie padł na nie ani jeden kwiat, ani jedna łza... Wspomnieniem tylko, zjedr oczonem teraźniejszości z przeszłością — mogła Polska żywa i niepodległa uczcić tych najlepszych swoich, którzy odeszli, nie doczekawszy słońca.

Pieśni narodowe rozbrzmiewające na grobach tych bojowników o wolność, którym dane było w ojczystej spocząć ziemi — roznosił wicher daleko hen! — wszędzie tam kędy snem wiecznym śpią polscy żołnierze i męczennicy... Niósł im zap[illegible] ienie, że „nie damy ziemi, skąd nasz ród" słowa żołnierskiej pieśni:

„Śpij kolego w zimnym grobie
Niech się Polska przyśni tobie".

M. M.

POŁĄCZENIE TELEFONICZNE Z WARSZAWĄ, WIEDNIEM, CIESZYNEM I MORAWSKĄ OSTRAWĄ BYŁO DZISIAJ PRZERWANE.

GEN. HALLER ODJEŻDŻA dzisiaj z Krakowa, powołany przez Naczelnego Wodza na nowe ważne stanowisko wojskowe. Jak dowiadujemy się, zasłużonego wodza, którego kilkumiesięczna praca po powrocie do ojczyzny tak silnie związana została z losami naszego miasta i pobliskiego pogranicza zachodniego, pożegna uroczyście o gdz. 6 popoł. Rada miejska na osobnem posiedzeniu w tym celu zwianym, ponadto o godz. 7 T-wo. „Sokół" przyjmie u siebie gen. Hallera, jako drogiego sobie gościa, który pierwszą swą pracę wojskową przeprowadzał właśnie w organizacyi sokolej. Prócz tego uroczystym obiadem pożegna gen. Hallera D. O. Gen. w Kasynie wojskowem, wieczorem zaś na dworcu o godz. 9 i pół hołd złoży generałowi Hallerowi Komitet obywatelski, który zajmował się organizowaniem obchodu w rocznicę oswobodzenia Krakowa. Wskutek zbyt krótkiego przeciągu czasu i wobec niespodziewanie spiesznego wyjazdu Generała szersze sfery ludności niestety nie będą mogły pożegnać ukochanego przez Kraków wodza. Jeno ci, którzy na czas zdążą się dowiedzieć o wyjeździe, pospieszą na dworzec, by tam gen. Hallerowi złożyć wyrazy hołdu i pożegnania.

KRAKOWSKIE ZADUSZKI. (m-m) Pak co roku popłynęły tłumy na cmentarz krakowski, aby uczcić pamięć swoich ukochanych przystrojeniem ich mogił. Wieńce świerkowe, cyprysowe — z chryzantem z nieśmiertelników, gdzieniegdzie z papierowych kwiatów widniały na wszystkich niemal grobach. Jednakowoż ta dekoracya kwietna pod względem przepychu ustępowała mocno obrazom, jakie zachowaliśmy w pamięci z lat ubiegłych. Spowodowała to ogromna drożyzna wieńców i kwiatów, które dochodziły do cen wprost horendalnych. Także i oświetlenie było daleko skromniejsze.. zamiast mrza jarzących świateł — tu i ówdzie parę świec lub kaganków. Zato groby dekorowano kartami żałobnemi wydanemi przez „Tow. opieki nad grobami wojennymi" i wykonanemi według pomysłu artysty-malarza p. Henryka Uziembły.

Na grobach pawstańców odśpiewano wśród podniosłego nastroju pieśni narodowe.

Z „BAGATELI". Dzisiaj wieczorem na ogólne żądanie po raz ostatni „Hiszpańska Mucha", która stale zapełnia widownię teatru budząc szalone wybuchy śmiechu i wesołości. Kocertowo grający zespół z pp. Dante-Baranowskim, Czarnowskim, Fritschem, Brzeskim i Trzywdarem na czele, oraz pp. Dąbrowską, Sznage Zawiejską i Łączyńską zapewnił farsie sukces niebywały. Premiera „Dudka" odbędzie się we wtorek i osiągnie niewątpliwie powodzenie zupełne. Przezabawna fabuła francuskiej krotochwili tryskającej dowcipem i humorem, wyborna obsada ról poszczególnych, oto atuty, które gwarantują pełnię zadowolenia na widowni i wysprzedaną kasę. „Dudka" prowadzi p. Noskowski.

(l) **ZJAZD KULTURALNO-OŚWIATOWY P. P. S.** Prze dwa dni 1 i 2 listopada odbywały się w sali rady miejskiej obrady zjazdu kulturalno-oświatowego P. P. S.. Na zjazd do Krakowa, który jest kolebką partyjnego ruchu oświatowego przybyło wielu przedstawicieli różnych instytucyi oświatowych i kulturalnych z całej Polski, między innymi b. minister oświaty Ksawery Prauss, prof Zygmut Heryng, prof. Romuald Minkiewicz, prof. Pozner, znany powieściopisarz Andrzej Strug, posłowie Daszyński, Czapiński, Reger, Malinowski, Niedziałkowski, Liebermann i inni. Obrady pierwszego ziazdu kulturalno oświatowe zagaił p. Sochacki, poczem dokonano wyboru prezydyum. Przewodniczyli kolejno obradom prof. Prauss, red. Haecker, p. Siradz ze Śląska i red. Kwietniowski. Pierwszy dzień obrad wypełniły referaty, dotyczące organizacyi szkolnictwa w ramach P. P. S. Zakończeniem pierwszego dnia obrad był wieczorek literacki ku czci Adama Asnyka w sali Związku Stow. Robotn.. W czasie wczorajszych rannych obrad wygłaszali w dalszym ciągu referaty pos. Reger, red. Kwietniowski i prof. [illegible], poczem wywiązała się ożywiona dyskusya. Popołudniowe godziny poświęcono sprawom wyższego szkolnictwa w Polsce i stanowisku socyalistów wobec zadań tego zkolnictwa.

Z KRAKOWSKIEGO KOŁA TOW. NAUCZYCIELI SZKÓŁ WYŻSZYCH. W sprawie plebiscytowej na Śląsku zbiera się dziś w poniedziałek dn. 3 listopada w Collegium novum o godz. 6 i pół nauczycielstwo szkół średnich na nadzwyczajne posiedzenie.

(T) **TAJEMNICZY NAPAD.** Wczoraj o godz. 9 rano został napadnięty w swym mieszkaniu konsul rumuński p. W. B. przez pewnego wojskowego i silnie zraniony nożem w głowę. Nazwisko napadającego dotychczas nie znane. Policya czyni dochodzenia w tej tajemniczej sprawie.

(T) **PORÓD NA ULICY.** Wczoraj o godzinie 3.50 rano wezwano tut. Pogotowie na ulicę Lubicz tuż obok dworca kol., gdzie na kamieniach chodnika, wyrobnica Marya Sejdak l. 25 z Gorlic, odbyła poród. Lekarz pogotowia po zastosowaniu pierwszych środków odwiózł matkę i dziecko (ważące 4 kg) w stanie jak najlepszym do szpitala powszechnego.

(T) **TAJEMNICZY STRZAŁ W DOMU PUBLICZNYM.** Wczoraj do wychodzącego nad ranem z wesołego domu przy ul. Wawrzyńca, Salomona Gielberga l. 26 jakiś nieznany mężczyzna z zadrzwi strzelił z rewolweru raniąc go śmiertelnie. Kula przebiła na wskróś płuca i zatrzymała się pod skórą. Pogotowie w ciężkim stanie odwiozło rannego do szpitala powszechnego.

(T) **UŻYŁ SOBIE JAK . . . W STUDNI.** Wczoraj o godz. 6 rano wezwano Pogotowie do Dębnik na ul. Różaną, gdzie na śniegu leżał upity (jak Bela) do nieprzytomności p E. Ślusarczyk l. 40 z zawodu cukiernik. Po zastosowaniu amoniaku i innych środków, przyprowadzono krakowskiego Gambrinusa do przytomności. Ponieważ p. S. nie mógł sobie przypomnieć miejsca swego zamieszkania, przeto odwieziono go do schroniska brata Alberta.

(s) **KRADZIEŻ LIKIERÓW.** W nocy z piątku na sobotę wkradli się niewyśledzeni dotąd sprawcy do piwnic domu nr. 16 przy ul. Rakowickiej, gdzie wypróżnili zawartość piwnicy szynkarza p. Oszlowitza, zabierając większy zapas wódek i likierów, oraz smalcu i masła, Szkoda wynosi około 10.000 koron.

„SZCZUTEK" ostatni usprawiedliwia treścią odziedziczoną po tęgim „dziadku" swoim lwowskim nazwę, noszącą ongi przez najtęższy satyryczny tygodnik polski. Satyrycznymi swoimi „szczutkami" godzi on znowu we wszystkie śmieszności, wady, błędy i zgrzyty naszego życia publicznego — prozą i słowem rymowanem. Zwracają tu uwagę utwory takie jak trawestacya wiersza „Do matki Polski" i „Świtezianki", pokłosie aktualności, jak kursa dla ministrów", „Piłsudski w dzień Warszawianki" itd. „Cenzura pani Wandy" jest lekkomyślnie filuterna, jak część naszego politycznego światka, a „szkice do-liryczne" zgrzytliwe jak nasza rzeczywistość. Świetne rysunki artystyczne uzupełniają numer.

KONKURS.
„BUDULEC"
GRODEL, MOSZYŃSKI I SKA WYTWÓRCZO-BUDOWLANA SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ POR. WE LWOWIE, ULICA KOPERNIKA L. 5.
przyjmie natychmiast
KIEROWNIKA ADMINISTRACYJNEGO DZIAŁU HANDLOWEGO
obeznanego jak najdokładniej z buchalteryą, korespondencyą, książkowością i administracyą.

Wymagana zupełna samodzielność, inicyatywa i zdolności organizacyjne.

Warunki bardzo korzystne wedle umowy.

Tylko panowie posiadający przynajmniej 10-letnią praktykę w dziale materjałów budowlanych zechcą się zgłaszać.

Oferty **tylko** pisemne, z odpisami świadectw, których się zwracać nie będzie i z podaniem referencyi przyjmuje się do dnia 5 listopada b. r.

Nieuwzględnione pozostaną bez odpowiedzi. 3768

Wydawca: W zastępstwie Spółki Wydawniczej „Editor" Jerzy Kosarski. — Redaktor odp. Stankiewicz.— Druk. Ludowa w Krakowie.